

**Aleksandra Chrobak poznała Emiraty od podszewki.**

W swojej książce opisuje kraj szokujących kontrastów, gdzie **to, co zabronione, często kryje się po prostu za przyciemnionymi szybami luksusowych samochodów.**

W mieście, które w zaledwie parę dekad pokonało drogę od namiotów na pustyni do najwyższych wieżowców świata, **najnowsze technologie przeplatają się z tradycjami i światopoglądem dawnych Beduinów.** Kręte uliczki i tętniące życiem bazyry sąsiadują z sześciopasmową autostradą, po której pędzą najnowsze bentleje i używane lexusy.

**Autorka jest wymarzoną przewodniczką po tym fascynującym świecie.** Ze swadą i humorem opisuje kraj, który stał się jej drugim domem. **Wyjaśnia, co zrobić, gdy gospodarz nie poczęstuje nas gahwą, jak rozróżnić typy zasłon na twarz, rozpoznać szejka po tablicach rejestracyjnych i spisać dobry kontrakt ślubny.**

**Rozdziały tej książki układają się w fascynującą mozaikę – barwny obraz kraju, o którym wciąż niewiele wiemy, ale do którego po zakończeniu lektury wszyscy będziemy chcieli polecieć.**



Fot. archiwum autora

**ALEKSANDRA CHROBAK** – absolwentka religioznawstwa i polonistyki oraz była studentka iranistyki z Krakowa, która kilka lat temu zamieszkała w Abu Zabi. Miłośniczka Bliskiego Wschodu i zawzięta tropicielka jego tajemnic.

znak.com.pl  
KSIĄŻKI Z DOBRZEJ STRONY

MBP Cieszanów  
Beduinki na Instagramie...



0000026903

Aleksandra Chrobak

BEDUINKI NA INSTAGRAMIE

znak  
litera  
nova

Aleksandra Chrobak

# BEDUINKI NA INSTAGRAMIE

MOJE ŻYCIE  
W EMIRATACH

ghini częściej pozwoli zasłużyć na przychylnie spojrzenie napotkanej panny niż zdezelowany lexus. Poza tym, jeśli kobieta wykazuje zainteresowanie, jest od czego zacząć rozmowę. Niekiedy działa też propozycja przejażdżki.

Nie warto jednak dać się zwieść błyszczącym felgom. Taka przygoda w lokalnym stylu kończy się jak wszystkie inne. W Emiratach oficjalnie nie ma ani randek, ani damsko-męskich przyjaźni. W społecznie akceptowanej normie mieści się albo małżeństwo, albo spuszczone z szacunkiem oczy, wszystko inne to mniej lub bardziej zakamuflowane pożądanie. Wbrew pozorom relacje pozamałżeńskie kwitną nawet w tak tradycyjnych społeczeństwach jak emirackie. W przestrzeni publicznej istnieje nieustanne napięcie i toczy się damsko-męska gra – seks wisi w powietrzu i nie wyruguje go żaden szariat.

## BAŃKA MYDLANA

**B**liski Wschód był dla mnie naturalnym wyborem. Zanim skończyłam religioznawstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim, przez pewien czas studiowałam iranistykę. Kraje Bliskiego Wschodu zawsze mnie pociągały. Po studiach wyjechałam na Zachód, ale po spędzeniu kilku lat w deszczowym Londynie zaczęłam się rozglądać za pracę w jakimś bardziej słonecznym miejscu. Linie lotnicze wydały mi się interesującą opcją. Etihad, narodowa linia ZEA, dość nowa na rynku, najszybciej odpowiedziała na moją aplikację. Rozmowa kwalifikacyjna odbyła się błyskawicznie i już miesiąc później siedziałam na pokładzie samolotu relacji Londyn–Abu Zabi z biletem w jedną stronę.

Niektórzy kochają pracę stewardesy. Ja szybko straciłam do niej serce, niemniej jednak był to dobry sposób na zobaczenie świata. Niestety po kilku miesiącach początkowa ekscytacja mija i wymarzone podróżowanie za pieniądze staje się tylko wymagającą fizycznie i psychicznie pracą. Widziany piąty raz Singapur już tak nie cieszy, natomiast presja związana z nieustannym dopasowywaniem się do nowych kolegów podczas każdego kolejnego lotu nie maleje. Do tego dochodzą nieprzespane noce i poczucie inwigilacji ze strony pracodawcy narzucającego wiele obostrzeń, które rzutują na życie prywatne.

Na pierwszy dłuższy, bo aż dwudziestoosmiogodzinny, postój w Europie przypadł mi, o ironio, Londyn. Wtedy dopiero uderzyło mnie, jak nierealnym miejscem są Emiraty.

Tu wszystko wydaje się trochę nierzeczywiste. Kluczowym elementem, który buduje to wrażenie, jest poczucie jednostajności czasu, spowodowane brakiem pór roku. W ten sposób klimat pośrednio wpływa na postrzeganie wspomnień, które trudno umieścić na osi czasu, bo zlewają się w pamięci. Za każdym razem, kiedy próbuję sobie odtworzyć konkretne zdarzenie, jakąś anegdotę bądź obraz, nie potrafię precyzyjnie określić, kiedy zaistniały.

Weekend jeszcze pogłębia poczucie dysonansu, bo zamiast soboty i niedzieli wolne są piątek i sobota. Przez pierwsze kilka miesięcy trudno było mi się przestawić

na nowy rytm – do dziś mentalnie funkcjonuję w podwójnoweekendowym świecie i o ile nie gardzę wolnym piątkiem, o tyle wciąż podskórnie czuję, że niedziela nie jest pierwszym dniem tygodnia.

Brak możliwości odniesienia do zmieniającego się otoczenia to nie wszystko: nawet dni trudno od siebie odróżnić, gdy jedynym zjawiskiem atmosferycznym jest palące słońce. W Emiratach nikt nie potrzebuje prognozy pogody: było słonecznie poprzedniego dnia, dziś jest tak samo i identycznie będzie jutro. Tutejsza „zima” – określenie wysoce umowne – trwa od grudnia do marca i zwykle nie wymaga od mieszkańców więcej niż narzucenia lekkiego swetra. Lato, przenoszące nas w iście dantejskie klimaty, ciągnie się od maja do października. W najgorętsze miesiące – w czerwcu, lipcu i sierpniu – temperatura dochodzi do blisko 50 stopni. Lato nie jest tu sezonem plażowym, jest na to zbyt gorąco. Widać to nawet po ofertach kurortów i prywatnych plaż, które w tym czasie obniżają ceny wejściówek. To nie upał jest jednak najbardziej uciążliwy, a wilgotność powietrza, która może osiągnąć nawet 90 procent, co gwarantuje konieczność wzięcia prysznicą po każdym wyjściu na zewnątrz.

Trudno się więc dziwić, że Emiraczczyki walkę z upałem opanowali do perfekcji. Gorące miesiące można tu przetrwać właściwie bez kontaktu ze światem zewnętrznym – manewrując pomiędzy klimatyzowanym miesz-

kaniem, samochodem i biurem, gdzie temperatura wynosi około 18 stopni. Każdy, kto nie jest ubrany na cebulkę, drży z zimna. Po godzinach, w ramach relaksu i bez konieczności zmiany temperatury, można się udać do galerii czy restauracji. Klimatyzacja nie jest tu, jak w Europie, wyrazem snobizmu, ale koniecznością. Sytuuje się w postawie piramidy potrzeb. Wyjazd na kilka tygodni i pozostawienie domu bez włączonej klimatyzacji to gwarantowany grzyb na zawilgoconych ścianach.

Deszcz jest tutaj rzadkością. Jego brak, oprócz ostentacyjnego bogactwa i zakrytych kobiet, jest chyba najpowszechniej kojarzoną cechą Emiratów Arabskich. Pada tu może dwa razy w roku. Parasolka jest jedynie zbędnym gadżetem. W zeszłym roku, gdy w jednym z tych dwóch deszczowych dni pojawiłam się w pracy z parasolem, koleżanki natychmiast wyjęły komórki i przystąpiły do fotografowania tego niezwyklej eksponatu. Ich reakcja totalnie mnie zaskoczyła – dopiero po długiej chwili dotarło do mnie, jak niezwyklej przedstawiam sobą widok, trzymając w dłoni coś, co jeszcze do niedawna było dla mnie nieodzownym elementem codzienności. Takie momenty przypominają mi, jak daleko jestem od domu.

\*

Nieustające słońce, brak podatków, łatwe pieniądze, firma zapewniająca mieszkanie i dopełniająca wszelkich

formalności dają poczucie życia pod kloszem. Większość ekspatów, jak popularnie nazywa się tu obcokrajowców przyjeżdżających do pracy, nie ma jeszcze rodzin albo pozostawiła je gdzieś daleko, więc często ich jedynym zmartwieniem staje się dylemat, na której plaży spędzić weekend. Naturalną konsekwencją tego stylu życia jest skrajny konsumpcjonizm. W Londynie od razu po wyjściu z lotniska poczułam na twarzy zimne grudniowe powietrze. Wyjście na miasto pełne zaaferowanych ludzi z prawdziwymi problemami, rodzinami i kłopotami finansowymi wydało mi się powrotem do realnego świata.

Po rozstaniu z Etihadem zaczęłam życie i pracę w Emiratach na własny rachunek. Przez jakiś czas pracowałam w sektorze bankowości, aż w końcu wylądowałam w administracji emirackiego odpowiednika NFZ. Mieszkam z daleka od Dubaju, który nazywam „miastem grzechu”. Przeważa tam populacja zachodnich ekspatów, co nadaje mu bardzo nowoczesny, metropolitalny charakter. To emirat sztuczności, ostentacyjnego luksusu i imprez, na które podjeżdżają ryczące lamborghini, wożące puste w środku dziewczyny, zalotnie eksponujące designerskie sukienki i silikonowe implanty.

Abu Zabi jest bardziej nakierowane na przyrodę i bardziej tradycyjne, a odsetek obcokrajowców jest tu o wiele mniejszy. Mieszkałam na obrzeżach miasta w prawie stu procentowo emirackiej dzielnicy z przewagą klasy śred-

niej. Pracowałam i spędzałam czas razem z członkami lokalnej społeczności, co dało mi okazję do autentycznego poznania emirackiego społeczeństwa od wewnątrz i niemal stania się jego częścią.

Piszę: niemal, bo ciężko jest poczuć się jak u siebie w kraju, w którym nie ma się szans na uzyskanie obywatelstwa. To miejsce na kilka lat, poczekalnia, przedłużenie młodości, pożyczony czas. Zdobycie emirackiego paszportu jest prawie niemożliwe. Nie ma tu naturalizacji. Nawet urodzenie się tu nie uprawnia do obywatelstwa. Można to zrozumieć, biorąc pod uwagę, że ludność lokalna stanowi tylko 15 procent mieszkańców, zaś cała reszta to imigranci. Część z nich to wykwalifikowani i świetnie zarabiający przybysze z zachodnich państw.

32

ZEA jest królestwem inżynierów. Ropa, ochrona zdrowia i innowacje należą do najlepiej płatnych sektorów. Jest tu trochę dobrze zdomowionej klasy średniej pochodzącej głównie z Indii i krajów arabskich oraz międzynarodowy konglomerat ludzi pracujących w mniej lukratywnych zawodach. Filipińczycy na przykład opanowali rynek usług. Większość imigrantów to jednak tania, prawie niewolnicza siła robocza z Indii, Pakistanu i Bangladeszu, ręce do pracy w branży budowlanej. Kręgosłup emirackiej gospodarki.

Nawet małżeństwo z Emiraczką bądź Emiratką nie daje obywatelstwa. Można o nie wnioskować tylko na prośbę współmałżonka i dopiero po pięciu latach od ślubu. Ta rygorystyczna polityka ma na celu ogranicze-

nie mieszanych małżeństw i zniechęcenie miejscowych do żenienia się z cudzoziemkami z krajów takich jak Jemen czy Arabia Saudyjska. Ale tutejsi mężczyźni, choć chętnie zawierają takie mieszane związki, i tak rzadko się wyrywają, by pomóc małżonce w uzyskaniu obywatelstwa. Najczęściej boją się emancypacji żony, która zyskując prawa obywatelskie, nie musi się już martwić o swoje utrzymanie. Jako Emiratce przysługuje jej bowiem hojna pomoc od państwa. To zaś oznacza, że może pomachać obmierzłemu małżonkowi paszportem na pożegnanie i wyjść za swojego młodego jemeńskiego kuzyna. Żona nie-Emiratka jest ekonomicznie i społecznie zdana na męża o wiele bardziej niż obywatelka.

Państwo stara się wyrzeć presję na tutejszych kawalerów, aby poślubiali swoje rodaczki, ale nie udaje się mu wywołać pożądanego skutku. Staropanieństwo staje się tu plagą, bo o ile Emiraczkę powszechnie żenią się z cudzoziemkami, poślubienie obcokrajowca przez obywatelkę ZEA jest mezaliansem niemieszczącym się w głowie. Emiratki są więc skazane tylko na rynek wewnętrzny, a podaż kandydatów jest nieproporcjonalna do popytu. Panowie chętnie poślubiają bowiem uległe i mniej roszczeniowe panie z krajów ościennych.

33

Nawet dzieci z mieszanych związków, w których jedno z rodziców (prawie zawsze matka) pochodzi z zagranicy, nie nabywają emirackiego obywatelstwa wraz z urodzeniem, ale dziedziczą je po nietutejszym rodzicu.

Dopiero ojciec może wnioskować o zmianę obywatelstwa swojego potomka. Zazwyczaj tak się właśnie dzieje, chyba że rodzic chce zarezerwować majątek i status dla swoich emirackich dzieci czystej krwi z pierwszej żony (jeśli takową ma).

W Emiratach mieszka wiele osób, które nigdy nie dostały obywatelstwa po mężu lub ojcu, a co za tym idzie, są pozbawione przywilejów zastrzeżonych dla obywateli ZEA. W firmach rządowych droga awansu jest przed nimi zamknięta, mimo że mają odpowiednie kwalifikacje. Często podlegają też ostracyzmowi społecznemu jako „nie w pełni Emiraczczy”, co na każdym kroku im się wypomina.

34 Dyskryminacja w Emiratach jest na porządku dziennym i ma status oficjalny. Nikogo nie oburza. Po prostu nie ma tu równych praw. Na pewno jest to strategia obronna małego narodu, który lęka się utonąć w potężnej fali imigracji, niemniej jednak ta mentalność boli tych, których dotyka.

Rdzenność jest uważana za wartość, co sprzyja powstawaniu specyficznie lokalnych odmian snobizmu i nacjonalizmu. Nawet osoby, które mają paszport ZEA, ale nie pochodzą z dawnych beduińskich klanów, nie są uważane za „prawdziwych Emiraczczyków”. Stuprocentowi „lokalsi”\* patrzą na nich z góry, ewentualnie traktują z protekcyjną grzecznością.

\* Lokalsi – od ang. *local*, „tubylec”. Tak o sobie mówią rodowici Emiraczczyki i tak też przyjęło się ich popularnie nazywać.

Emiracki paszport jest jak los na loterii, *ticket to Hollywood*. Wraz z nim zyskuje się ogromne przywileje. ZEA dba o swoich obywateli jak mało które państwo. Emiraczczyk jest uprzywilejowany w relacjach społecznych i na rynku pracy. Obowiązują tu parytety, wymagające zatrudnienia w każdej firmie określonego procenta obywateli. Ich płace są kilkakrotnie wyższe niż pensje innych pracowników na tym samym stanowisku, z czego nikt nie robi tajemnicy, a do tego są praktycznie niezwalniani, niezależnie od obecności, wyników i kompetencji. Często można się natknąć na oferty pracy zawierające klauzulę „tylko Emiraczczyki” albo „preferowana narodowość: ZEA”. Państwo stara się aktywizować obywateli zawodowo, zapewne antycypując wyczerpanie złóż ropy. Może to jednak razić przywykłych do demokratycznych standardów przybyszów z Europy.

Brak równości i podwójne standardy kłują w oczy, szczególnie jeśli – jak ja – pracuje się w firmie rządowej i widzi się je na co dzień. Kolejna znacząca różnica pomiędzy lokalnymi pracownikami i imigrantami wynika z faktu, że emiraccy obywatele nie muszą zarabiać na utrzymanie rodziny. Potężna pomoc finansowa od państwa sprawia, że nie mają tego typu motywacji. Rzadko przychodzą więc do pracy. Panie potrafią też w środku dnia zarzucić na ramię torebkę od Chanel i wyjść na kilkugodzinne zakupy, po czym wrócić tylko po to, by podpisać listę obecności.

Wolno im.

Do tego państwo zapewnia obywatelom ziemię i dotacje na budowę willi, albo wręcz gotowe wille pod klucz dla tych, których na nie nie stać. Pobierającym się parom przysługują dodatki weselne do równowartości około 100 tysięcy dirhamów (prawie 100 tysięcy złotych). W takich warunkach trudno oczekiwać ukształtowania się modelu stachanowca.

Gwoli sprawiedliwości muszę jednak zauważyć, że przy istniejącym układzie populacyjnym, w którym Emiraczczy są w mniejszości, i przy stałym napływie wysoko wykwalifikowanych pracowników z zagranicy z mocnym etosem pracy i ambicjami, wolny rynek zatrudnienia prawdopodobnie całkowicie wyeliminowałby lokalnych pracowników. Rząd dba więc, by do tego nie doszło, stosując wszelkie dostępne środki. Każdy biznes otwierany w ZEA musi mieć emirackiego partnera albo sponsora\*. Tutejsze uniwersytety są nakierowane *stricte* na techniczne wykształcenie. Humanistyki nie ma, bo po co, a bibliotek nie uświadczysz. Jedyne woluminy, które można zauważyć pod pachą Emiraczczyka, to książki do inżynierii, ewentualnie Koran, podczytywany w poczekalniach.

Kiedy szejek Zajed, ojciec emirackiej państwowości, doszedł do władzy, chciał zrekompensować swoim lu-

\* Zasady te nie są tak restrykcyjne w tak zwanych wolnych strefach, *free zones*, na przykład w Dubaju. Takich stref nie ma jednak w Abu Zabi.

dziom wieki niedostatku. Tutejsi Beduini przez wieki nie mieli nawet świeżej wody, poza kilkoma oazami pili mętną ciecz z odkopywanych codziennie studni. Szejk zaczął rozdawać obywatelom niebotyczne kwoty. Za swoją misję uznał zapewnienie im wszystkiego, czego potrzebują – i więcej. Jego wizja opiekuńczego państwa utrzymuje się do dziś. Po odkryciu ropy Emiraczczy w jednej chwili przenieśli się z nomadycznej nędzy do łatwego luksusu, bez konieczności pokonywania drogi powolnego wzbogacania się. Nie wykształciła się tu więc dorabiająca się przez pokolenia klasa średnia ani pracująca. Z momentem opuszczenia pustyni na rzecz ekspansji miast Emiraczczy mieli już petrodolary, za które wynajmowali pracowników. Dlatego dziś rodowici obywatele nie pracują ani w handlu, ani w usługach, ani w przemyśle. Uważają takie zawody za degradujące. Jedyne konkretne profesje, na jakie się decydują poza administracją i zarządzaniem, to inżynieria i mechanika na polach naftowych, oczywiście odpowiednio wynagradzana.

Emiraczczy szybko zapomnieli o nomadycznej samowystarczalności i zachłysłeni się dobrobytem. Tradycyjne beduińskie wartości: skromność i gościnność, poszły w ką. Naftowe bogactwo, oprócz wielu dobrodziejstw, niestety jest też niekiedy źródłem beznadziejnie roszczeniowych postaw, bezdennej buty, dyskryminacji i poczucia totalnej bezkarności spod znaku „jestem Emiraczczykiem

i wszystko mi wolno”. Czasami postawy te są wyrażane wprost, kiedy indziej ukryte pod grzecznym uśmiechem, łatwo jednak wypływają na powierzchnię, jeśli cokolwiek nie idzie po myśli rozmówcy. W takich momentach urażeni i zniesmaczeni ekspaci krzywią się w duchu – trochę z poczucia niesprawiedliwości, a trochę z zazdrości, że tamci od urodzenia mają wszystko podane na tacy. Przewracają oczami, kręcą głowami i szepczą do siebie: ropa się kiedyś skończy.

\*

Emiraczczy nie są jednolici etnicznie. W tym roku ZEA jako państwo obchodzą 44. urodziny. Przodkowie dzisiejszych 5 milionów posiadaczy emirackiego paszportu to nieliczni rodowici mieszkańcy tych stron i nieco późniejsi przybysze z Iranu, Jemenu, Arabii Saudyjskiej, Kataru i Omanu. Rdzenni Emiraczczy wciąż im to pamiętają. Pochodzenie jest do pewnego stopnia odzwierciedlone w nazwiskach rodowych, po których tubylcy doskonale potrafią określić kraj pochodzenia czyichś przodków, na przykład Al-Hammami wywodzą się z Arabii Saudyjskiej, Al-Marri z Kataru, Al-Massabi z Jemenu.

Powszechnie funkcjonuje tu filozofia: podaj mi swoje nazwisko, a powiem ci, kim jesteś, jaką pozycję ma twoja rodzina, a nawet jaki masz charakter! Rozpowszechniane

są stereotypy, że na przykład Al-Mansuri są uparci i nieustępliwi, a Al-Kubaisi wpływowi.

Mimo obsesji na punkcie rdzenności ZEA zapożyczyło wiele elementów kultury od krajów ościennych, które mogą się poszczycić długą historią i wspaniałą architekturą, jak choćby Oman czy Iran. Emiraty jako swój symbol tradycji i tożsamości mogą pokazać tylko pustynnych sokolników, beduiński męski taniec z cienką laską do poganiania wielbłądów, picie tradycyjnej kawy i malunki z henny. Warto obejrzeć rozmaite filmiki promujące ten kraj albo publikowane z okazji świąt narodowych – wszystkie pokażą to samo.

Mimo łączącego ich obywatelstwa i wspólnego mianownika kulturowego krajów Zatoki Perskiej mieszkańcy Emiratów wciąż zachowują swoje indywidualne etniczne tradycje, co najlepiej widać podczas wesel, które różnią się strojami i ceremoniałem. Jemeńscy na przykład są grupą najmniej uprzywilejowaną, biedniejszą i mniej wykształconą, a co za tym idzie, mniej pogodzoną z nowoczesną, progresywną wizją społeczeństwa promowaną przez państwo. Jest jeszcze jedna grupa, nazywana *adżami* – to potomkowie niearabskiej ludności osiadłej na północy, przy granicy z Iranem. *Adżami* dosłownie znaczy „niemówiący po arabsku”, nieposługujący się tym językiem w domu.

Największy powód do dumy daje jednak rdzenność nad rdzennościami – lokalne beduińskie korzenie. Uczyłam



kiedyś języka polskiego dobrze sytuowanego rdzennego Emiraczyka, który puszył się przede mną swoim ponoć czysto lokalnym rodowodem. Powiedział mi wprost, że w jego rodzinie nie praktykuje się ślubów z członkami innych grup etnicznych. Taki elitaryzm jest tu na porządku dziennym.

To poczucie elitarności przekłada się na relacje z przybyszami z zagranicy. Dla imigrantów biała kandura, tradycyjny strój męski w Emiratach, oznacza władzę. Traktują „lokalsów” z nabożnym prawie lękiem i szacunkiem, może trochę z powodu bariery, jaką tworzy ich narodowy strój, trochę ze strachu przed państwem, które w razie kłopotów zawsze weźmie stronę swojego obywatela, a trochę z powodu autorytetu, jaki Emiraczyki budują przez swoje dobre maniery i bajeczne bogactwo.

Nie da się zaprzeczyć, że w ciągu dwóch pokoleń dokonał się tu nieprawdopodobny skok cywilizacyjny. Trudno tego kraju za to nie podziwiać. Jeszcze czterdzieści lat temu ludzie mieszkali tu w namiotach i hodowali wielbłądy. Dziś mają wieżowce i skomplikowane systemy elektroniczne do zarządzania i administracji, skanery dłoni do identyfikacji petentów w urzędzie czy tworzenie profilu oka zamiast odcisków palców dla przyjeźdźców na lotnisku.

Wydaje się, że naturalna ciekawość i otwartość Emiraczyków przeprowadziły ich przez te zmiany społeczne z większym sukcesem niż ludność Arabii Saudyjskiej.

Być może jest to związane z faktem, że Beduini z tych terenów nigdy nie przyjęli wahabizmu – purytańskiej, ultrakonserwatywnej wersji sunnickiego islamu dominującej w Arabii Saudyjskiej. Dzięki temu tutejsze społeczeństwo wydaje się lepiej zaadaptowane do współczesnego mainstreamu cywilizacyjno-kulturowego, a nie tylko technicznego.

To właśnie nieustanny konflikt tradycji i nowoczesności jest dla mnie najciekawszym aspektem tego kraju. Widok noszącej unikatową beduińską maskę starszej pani, która – choć niepiśmienna – ma połączanego iPhone’a i żartuje, że nie umie się podpisać, ale wie, jak wysłać zdjęcie, jest czymś absolutnie wyjątkowym. Budujące są też rozmowy z dość już wiekowymi Emiraczykami, którzy często świetnie mówią po angielsku i rozumieją Europę o wiele lepiej niż ich dzieci i wnuki. To pokolenie boomu ropy, wysyłane chętnie na studia na europejskie uczelnie wskutek oświeconego myślenia wizjonerskiego szejka Zajeda.